

Stuk... stuk... stuk... Odgłos kroków, bębniących po posadzce potęgowało echo, roznoszące się po zimnym korytarzu. Stuk... stuk... stuk... Pałące się w gołych, kamiennych ścianach lichtarze dawały tylko lichą poświatę. Stuk... stuk... Panującą wokół ciszę przerwał przeciągły, nieludzki, wibrujący wrzask. A potem drugi i następny, ochryply, przeradzający się w wycie. Stuk... stuk... stuk...

\* \* \*

Stuk... stuk... Kroki, dudniące po marmurowej posadzce były miarowe i zdecydowane. Idącym korytarzem komturii głównej Zakonu Początku Świata w Korathii był średniego wzrostu, postawny, długowłosa mężczyzna, odziany w cywilny, skromny strój rycerza zakonu, jednak z przytroczonym długim mieczem o estetycznie wykonanej, inkrustowanej srebrem rękojeści. Sądząc po wyglądzie, mógł mieć nie więcej niż 35 lat. Twarz miał poznaczoną kilkoma bliznami, nosił krótko i starannie przyciętą brodę, zaś jego oczy lśniły lekkim podekscytowaniem. Pogrążony w swoich myślach lekko tylko obrzucał spojrzeniem mijane popiersia dostojników zakonu, oraz pozawieszane na ścianach w prostych, drewnianych ramach obrazy, przedstawiające dość sugestywne sceny z „Przepowiedni o końcu świata”. Kiedy zatrzymał się przed zamkniętymi, okutymi żelazem drzwiami, odetchnął głęboko i wszedł bez pukania.

Do komtura Trazymacha Gwiliusza zawsze wchodziło się bez pukania, bowiem nikt nigdy nie wchodził niespodziewany. Tak było i teraz, w niedużej komnacie, w której jedynym wyposażeniem było kilkanaście świec, wielkie, dębowe biurko i niezliczone stopy pergaminów, zwojów i luźnych kartek papieru czekał już komtur, wpatrując się w przybysza smutnym spojrzeniem. Wieści po zakonie chodziły, że ów dość już sędziwy człowiek potrafił być dobrym, ciepłym i wyrozumiałym, jak również dowcipnym, jednakże nigdy się nie uśmiechał. Być może było to jedną z cech jego charakteru, być może rodzajem pokuty, czy ślubu, tego jednak nikt nie był w stanie dowieść.

- Miłosierny. – Rzekł rycerz, pochylając się w pełnym szacunku ukłonie.

- Witaj bracie Wernarze. – Odpowiedział komtur. – Rad jestem, że raz jeszcze cię widzę. Słyszałem o waszych dokonaniach na północy. Cieszy mnie, że wampirza zaraza została wylewiona, a ludzie mogą znów spać bezpiecznie.

- O ile się sami nie zeżrą nawzajem – Uśmiechnął się przybysz. – Nadal trudno jest zaszczerpić w nich chęć czynienia sobie nawzajem dobra. Choć może ta sprawa z wampirami wzbudziła w nich jakieś więzi.

- Oby, oby. Tymczasem znów wysyłam cię w drogę. Wybacz mi, że nie dostaniesz na razie należnego wypoczynku, ale sam wiesz, że spraw jest bezlik, a nas wciąż mało, choć pomoc coraz częściej jest nam udzielana z różnych stron. Ale przejdźmy do sedna. – komtur zrobił krótką pauzę, jakby w celu ostatecznego zebrania myśli.

- Znasz tegoroczną sprawę owego zaklętego w kryształach katalizatora magii, znalezionego na pograniczu tryntyjskim. Nie muszę ci więc powtarzać historii jego stworzenia, mocy i możliwości. Rzeknę ci natomiast słówko o naszych badaniach nad nim prowadzonych, bo przez dłuższy czas miałeś ważniejsze sprawy i z pewnością nie jesteś na bieżąco. Jak wiesz, otrzymaliśmy kryształ od Olafa Egilsona, tego, który mianował się następcą Elmeryka. Jak wiesz, chcieliśmy go zniszczyć, jak relikwiarz dawnych, splugawionych czasów. Nie wiesz jednak, że jego zniszczenie nie powiodło nam się. Kilkunastu braci, naprawdę tęgiech umysłów i wielkiej mocy magów rozpracowywało katalizator dniami i nocami, nie mogąc jednak wnikać w głąb jego struktury. Co się okazało, jego moc wykracza poza możliwości zwykłego katalizatora. Dwóch naszych badaczy, kapłan i mag, pracujący najbliżej, rozszyfrowując jego esencję zmarło w straszliwych męczarniach. Siedmiu następnym zmałdował umysły tak, że nie są w stanie już normalnie funkcjonować. Powód takiego zachowania był dla nas wielką zagadką dopóki nie przepytaliśmy ponownie jednego z naszych nowych braci, naocznego świadka

wydarzeń, związanych z wydobyciem artefaktu. Zdradził nam wiele nowych informacji, które uprzednio nam umknęły.

- Przyjeliśmy zdrajcę? – Rycerz zmarszczył brwi

– Ależ nie obawiaj się. – Spokojnym tonem kontynuował komtur, zdając się nie zważać na to, że tok jego wypowiedzi został nieuprzejmie przerwany. – Nie zdradził żadnego sekretu swej drużyny, a poza tym... Musisz zrozumieć, że jeszcze nie pora, by zaostrzać rygor, nasze fundamenty wciąż jeszcze muszą stwardnieć, zaś ten człowiek odpokutuje za błędy młodości służąc. Podobnie jak ty pokutujesz, nie zapominaj o tym.

Ton głosu starca w przeciągu zdania zaostrzył się niczym brzytwa ze stali Laro. I widać było po wyrazie twarzy Wernara, że został ukłuty boleśnie i głęboko. Przez ułamek sekundy, bo potem twarz rycerza znów wyrażała tylko spokój i oczekiwanie.

- Wybacz, miłosierny. Zgrzeszyłem pychą.

- Zapomnijmy o tym. Wracając do opowieści, w tej chwili jesteśmy przekonani o tym, że ksiązę Olaf miał go przy sobie przechodząc przez Dur-an-Kraigh.

- Nie ! – wykrzyknął Wernar, dodając przy tym paskudne, niezbyt przystojące żyjącemu w celibacie przekleństwo. – Miał go w Korzeniu Gór, na ścieżkach szaleństwa? Zaiste musiał być szalony już zanim się tam dostał!

- Domyślasz się już więc co mogło się przydarzyć i jakie mogą zaistnieć konsekwencje. Katalizator wzmocnił klątwę tego miejsca i przyjął na siebie jego złowrogą moc. A po wydostaniu się na zewnątrz oddziaływał na wszystkich w swym zasięgu... Najbardziej i najdłużej na Olafa, który nadal ma go stale przy sobie i traktuje chyba jako coś w rodzaju talizmanu.

- Jasna cholera – warknął Wernar

- Spokojnie, mój drogi. Twoja w tym głowa, żeby do nas wrócił. W tym momencie jest to największa znana nam skaza, najgroźniejszy kamień, który już nie tyle zachwieje równowagą świata, ale jest w stanie go zniszczyć. Znasz przepowiednie, nie chcemy przedwcześnie orzekać, ale niektórzy z komturów już uznali go za drugi ze znaków nadejścia końca czasów.

- A co na to Wielki Komtur ?

- Miłosierny Rotgar de Vriess jak ci wiadomo od dwóch miesięcy cierpi na niezwykle rzadką chorobę i powierzył tymczasowo część władzy Radzie Komturów. Dopóki nie musimy zdawać się na jego decydujący głos, prowadzimy działania sami. Nie ulega wątpliwości, że dla dobra wszystkich mieszkańców tego świata trzeba pozbyć się tego zła. To, czy nam się to uda zależeć będzie głównie od ciebie, ponieważ wysyłam cię gdzieś, gdzie być może znajdziesz na to sposób.

- Sposób na zlikwidowanie zagrożenia?

- W rzeczy samej. Ale o tym później. Zadanie które ci przedstawiam wydaje się z pozoru łatwe, ale wierz mi, zbyt dużo przeplata się w nim ścieżek losu, a tylko niektóre nie stanowią dla mnie tajemnicy. Istnieje pewna siła, o której wiesz, a która jest nierozłącznie związana z kryształem. Będzie ona dążyć do zdobycia go, a prawdopodobnie nie ona jedna. Jak mówiłem, będziesz w miejscu gdzie krzyżuje się wiele dążeń. Dlatego też nie będziesz sam, ale o tym też będzie później.

\*\*\*

Wernarze.

Tak, miłosierny?

Czekałem na ciebie.

Komtur Ernst dar Haubrice wyłonił się jak cień zza grubej kolumny, jednej z dwunastu, podpierających strop wielkiej sali. Był to przystojny mężczyzna w sile wieku, odziany w lekką skórnię z wytłaczanymi znakami runicznymi, oraz wełniany podróżny płaszcz. Muszę przyznać, że rzadko go widywałem w głównej komturii, zwykle ponoć bywał na dworach możnych tego świata,

dbając o dobre imię zakonu, zdobywając liczne kontakty i przyjaźnie. Fakt, było w nim coś budzącego sympatię, miał niewątpliwy dar zjednywania sobie ludzi. Zawsze rzeczowy i taktowny, był niewątpliwie świetnym dyplomatą i chlubą zakonu.

- Musimy porozmawiać – rzekł do mnie – jestem wtajemniczony w twą misję, nie chcę tracić czasu więc zacznę od razu, a w międzyczasie pójdźmy w bardziej ustronne miejsce.

Uśmiechnął się i wyszliśmy z wspólnej sali, w której zwykle zakonnicy wypoczywali i spędzali czas przy kuflu i rozmowach. Komtur poprowadził mnie do jednego z piwnicznych pomieszczeń, gdzie grubość muru wynosiła na oko ze trzy łokcie, zaś drzwi były żelazne i zamykane na solidny skobel. Niegdyś z pewnością owa komnatka miała zgoła inne przeznaczenie, dziś jednak w środku znajdowało się tylko kilkanaście worków z ryżem.

- Więc jak już ci wiadomo wyjeżdżasz do Silberbergu, gdzie spotykać się będzie sam Olaf, domniemany przyszły książę Wergundii z wysłannikami Eudomara, domniemanego już niedługo ex-księcia Wergundii. Eudomar z oczywistych względów nie może pojawić się tam we własnej osobie, gdyż samo wyjście z pałacu snadnie może przyczynić się do jego gwałtownego i z pewnością niechcianego zwolnienia tronu Imperium – zaśmiał się krótko.

Z dużą dozą pewności, przybędą jeszcze ludzie Leifa, tryntyjskiej żywej legendy i no i bogowie wiedzą kogo tam jeszcze Olaf w swej przemyślności raczył zaprosić na obrady. A radzić będą oczywiście nad tym, kto ma zostać władcą i na jakich warunkach. To, że Eudomar ustąpi, to jest pewne. Ale zważ, że gdyby nie Olaf, pierwszeństwo do tronu miałyby stare rody Wergundii i w pierwszej kolejności ród Mawarot. I tu dochodzimy do sedna sprawy. Jak wiesz, przyjacielu stare rody bardzo sprzyjają zakonowi. Jak wiesz, mamy pilną potrzebą rozszerzenia swoich... wpływów. Może ci się nie spodobać to co powiem, ale taki jest wymóg czasów w których żyjemy. Niesiemy posłannictwo, niesiemy ideę i niesiemy czyny, którymi wprowadzamy tę ideę w życie. Nie będę cię oszukiwać bracie, chcemy by na tym brudnym świecie wreszcie zapanował ład, ale nie osiągniemy tego będąc takimi, jakimi chcielibyśmy być w tym ładzie. Pojmujesz o co mi chodzi? Póki brud i grzech na świecie, póty musimy jak ten doppler, który udaje goblina użyć czasem środków brudnych, za które będziemy się wstydzić i pokutować. Pojąłeś chyba.

Pojąłem. Ale ze słowa na słowo coraz bardziej mi się to nie podobało

- Rzecz w tym, że Olaf był długo narażony na moc katalizatora, a przy tym cholera wie ile czasu upłynie, zanim się z nim ułożymy. Orwidor z Mawarot jest naszym serdecznym sojusznikiem i dzięki niemu znowu zajmiemy czołową pozycję w Wergundii. Dlatego postarasz się nie dopuścić do obsadzenia Olafa na tronie.

Komtur zniżył głos i spojrzał mi w oczy tak głęboko, jak gdyby chciał tym spojrzeniem przejrzeć mnie na wylot. Dotarł do mnie dokładnie sens jego słów, przez moment przemknęła przez myśl wątpliwość czy tak przyziemny cel godzi się łączyć z moją zasadniczą misją. Ale tylko przez moment, bo moim zadaniem jest słuchać, poza tym... cholera, jeśli Olaf rzeczywiście został spaczony mocą Korzenia Góry... nie powinien dalej stąpać po tym świecie. Choć akurat wpływ mocy na Olafa nie został zbadany.

- Nie dopuścisz – kontynuował – żeby Olaf ułożył się z Eudomarem. Doprowadzisz do sytuacji, w której choćby tymczasowo będzie rozpatrywana kandydatura Orwidora z Mawarotów. Daję ci wolną rękę w kwestii sposobu wykonania zadania. Możesz znaleźć sojuszników wśród zaproszonych gości, pamiętaj, że nie wszyscy muszą dać wiarę w istnienie syna Elmeryka, nie wszyscy znają historię kryształu. Będiesz miał pod swoją komendą ludzi do specjalnych zadań, dobraliśmy ich specjalnie pod kątem nietuzinkowych umiejętności, oraz jednej cechy, która wydaje się szczególnie użyteczna. Wszyscy znają Olafa i byli uwikłani w historię kryształu. Przeszabawne, nie sądzisz? Tyle osób splątanych w wirze wydarzeń. – Komtur odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął szczerym i perlistym śmiechem, nie pasującym za bardzo do kontekstu poprzedniej wypowiedzi.

- Koń już czeka. - Kontynuował nadal uśmiechnięty. – W jukach masz skromny zapas waluty Imperium, która powinna wystarczyć ci na podróż. Zaś, abys nie musiał się zbytnio kłopotać rygiorem wydatków, przyjmij jeszcze ode mnie ten podarek. Gdybyś mnie jeszcze potrzebował przed wyjazdem, będę w swoich komnatach. Powodzenia, bracie. Pokładam w Bogach nadzieję, że po raz kolejny zakon będzie mógł być z ciebie dumny.

To mówiąc, komtur Ernst dar Haubrice odwrócił się na pięcie i wyszedł, pozostawiając mnie w komórce pełnej ryżu z ciężką sakiewką w ręce i mętlikiem w myślach.

\*\*\*

„No kurwa pięknie”, sarkałem sobie w duchu. „Elfi skrytobójca, elfia złodziejka i nekromanta w ciele kobiety. To mi ferajna! Dobrana pod kątem umiejętności, psiamac. Wystarczyło mi ich pokazać, w mig sam bym zrozumiał na czym polega moje zadanie. Toż to jakaś herezja i ponury sarkazm, żebym ja, krzewiciel moralności, oddany sługa zakonu zadawał się z taką hołotą. Gdyby niegodziwości tej trójki były jak kamienie, zapewne można by z nich postawić niemały gmach. I jeszcze wybrukować trakt do niego. I jakieś pomniki może jeszcze dookoła. Najlepiej pomnik rycerza Zakonu Początku Świata, który w imię równowagi oraz nowego początku zadawał się z szumowinami i marnie skończył razem z nimi. Ech, rozumiem, że niewielu jest jeszcze prawdziwie dobrych na tym świecie, ale mogliby mi znaleźć chociaż kogoś, kto nie zasłużył swoim postępowaniem na szafot. Ciekawe co wielki komtur na to. A, pal licho wielkiego komtura, on znacznie złagodził politykę zakonu, co na to jego zacny poprzednik! Ani chybi, gdyby się dowiedział, uznałby mnie za godnego tego towarzystwa. No, ale nie ma co gderać na kilof, gdy sam walnąłeś nim w stempel, jak mawiają krasnoludy. Dostałem do ręki narzędzia, więc posłużą mi najlepiej jak będę umiał ich wykorzystać. A może faktycznie ich przywary nie są tak ważne, kiedy w grę wchodzi równowaga świata i jego dalsze losy. Powinienem pokładać więcej wiary w mądrość moich zwierzchników.

- Więc – Wyseplenił, ogryzając kość Onfis in'Tebri, skrytobójca z mej zacnej kompanii. – Może nam w końcu powiesz jaki mamy plan, Wernarze, jeśli już mamy się tak do ciebie zwracać.

Siedzieliśmy w przyznanej nam byłej tymczasowej kwaterze zakonu, w okolicach Silberbergu. W ramach odbudowywania struktur mieszkało tu jeszcze niedawno kilku naszych, oddelegowanych by pomagać ludności i przywracać równowagę. Misja odniosła najwyraźniej prędko sukces, gdyż obecnie działa już całkiem porządna komandoria w jednej z większych miasteczek okolicy. Owa tymczasowa kwatera to nic innego jak stara, trochę już zrujnowana gobliniska, lub nawet krasnoludzka budowla, zbudowana z ciosanego kamienia, z niskimi stropami i wąskimi oknami, które jednakże zostały powiększone, by w środku mogły przebywać osoby mniej przystosowane do ciemności. Po moich braciach zostały jeno legowiska i palenisko, wszelki sprzęt, łącznie z ławami został prawdopodobnie wyniesiony. Ale ja i moi towarzysze byliśmy nawykli do niewygód i błogosławiliśmy solidarnie dany nam dach nad głową i ciepło ogniska.

W istocie nie miałem jeszcze planu. Za dużo było zmiennych, każdy plan mógł nagle wziąć w łeb, z powodu niezależnego czynnika.

- Bądź spokojny Onfisie. – Odparłem. – Nie mogę wam zdradzić za dużo szczegółów na początek, wszystkiego dowiedzie się w swoim czasie. Na razie, szykujmy się do wzięcia udziału w negocjacjach, między Olafem Egilsonem, a księciem Eudomarem.

- Och. Nie wiedziałem, że jesteście zaproszeni na oficjalne negocjacje. – Wtrącił Varthanis, co do którego nie mogłem się pozbyć mieszanych uczuć. Rozdźwięk, pomiędzy delikatnym kobiecym ciałem, a szorstkim, oschłym sposobem bycia i ponadprzeciętną inteligencją budził we mnie niepokój. Był bez wątpienia mężczyzną, w dodatku pewnie kilkukrotnie starszym ode mnie, a jego motywacje pozostawały dla mnie nieodgadnione. Z pewnością byłby trudnym przeciwnikiem, gdyby przyszło mu do głowy zdradzić.

- Nie jesteśmy. – Wycodziłem. – I to jest zniewagą dla Zakonu. Jesteśmy na ziemiach Tryntu zbyt znaczną siłą, żeby nas tak lekceważyć. Pomagaliśmy wielokrotnie zarówno władcom Tryntu jak i Wergundii, częstokroć łagodząc konflikty i zapobiegając rozlewowi krwi. A Olaf chce teraz rozdać karty po cichu, zapominając, że jego pozycja wciąż jest jednak dość słaba, a byłaby jeszcze słabsza gdyby nie pomoc jarła Leifa Einarsona, który jest naszym serdecznym przyjacielem. Cóż, jeśli myślą, że przymkniemy oko na negocjacje mające zaważyć między innymi o naszym losie, są w poważnym błędzie, co im uświadomimy. Na początek rozmówimy się z Olafem, uświadamiając mu pewne fakty.

- W razie czego, mam w zanadru trochę trucizn. – Wyszczrzył się elf.

- Nigdy nie zawadzi je mieć. Aczkolwiek jeśli będzie można tu zadziałać dyplomacją, nie będą potrzebne.

\*\*\*

Stary las o tej porze roku był ciemny i niegościnnie. Ciemny gąszcz zdawał się wyciągać lepkie macki w stronę każdego, kto ważył się naruszyć jego spokój. Silny, gwizdzący wicher poruszał koronami drzew i zagłuszał jakiegokolwiek oznaki bytności istot żywych. Czworo wędrowców maszerowało w pośpiechu wąską, niewidoczną dla ludzkiego oka ścieżką. Na czele szła Enid aep Enye, niewysoka elfka, czujnie przepatrując i badając ścieżkę, oraz okolice. Odziana była w lekką, dość sfatygowaną skórzaną zbroję oraz grube, stalowe, czernione karwasze. Przy boku zwisała jej schowana w pochwie krótka, zakrzywiona szabla o szerokim ostrzu, ulubiona broń czarnych elfów. Enid nie musiała zbyt wyęźać wzroku, pochodziła z Laro. Jej powiększone źrenice wychwytywały każdy ruch zarośli, a długie nawet jak na elfkę uszy gotowe były wyłowić z leśnej symfonii dźwięków te nienaturalne, wywołane przez człowieka.

Za nią podążała reszta. Szepczący modlitwy Wernar w nitowanej kolczudze, na którą narzucił surkot z wyszytymi zakonnymi insygniami, Onfis, nerwowo rozglądający się na boki, ściskający w dłoniach dwa krótkie, zakrzywione ostrza, oraz Varthanis, którego kobiece lico nie wyrażało żadnych uczuć.

- Daleko jeszcze, Varthanisie? – Spytała Enid, zatrzymawszy się.

- Niedaleko. Emanacja katalizatora jest coraz silniejsza, jestem pewien, że znajduje się tam, lecz oprócz niego wyczuwam ktoś jeszcze. Na wasz użytek posłużę się metaforą. Wyobraźcie sobie dwa odmienne, acz równie silne zapachy, które łączą się i wspólnie wzmacniają. Jeden z nich to z pewnością nasz artefakt, drugi – nie wiem, prawdopodobnie jakiś mag, bo tylko on mógłby aktywować katalizator. Jedno mogę powiedzieć, nie jest to dyletant w swoim fachu. Więc, nasz świątobliwy zwierzchniku, radź nam co mamy zrobić. – Zwrócił się do Wernara, splatając ręce.

- Naszym pierwszym celem jest zdobycie tego kryształu. Więc cokolwiek się zdarzy, musi on być w naszych rękach.

- Pozwolę sobie ci przypomnieć – Przerwał nekromanta. – Lepiej jednak nie traktować tego stwierdzenia dosłownie, dotykać go gołymi rękami może tylko dziedzic jego stwórcy. Nawiasem mówiąc, ciekawym, co go przyniosło w te okolice, skądinąd nam znajome.

- Idziemy na Lisiankę. – Odezwała się Enid.

- W rzeczy samej. Miejsca, gdzie już raz przy użyciu katalizatora próbowano odprawić rytuał i obudzić smoka. Zachodzą niepokojące mnie korelacje.

- To znaczy, że będziemy tam walczyć z jaszczuroludźmi? – spytał Onfis, wpatrując się w maga szeroko otwartymi oczami.

- Nie można wykluczyć niczego, choć byłoby to dziwne i oznaczało, że męczyliśmy się nadaremnie ze zniszczeniem ich.

- Dobrze, przejdźmy do rzeczy. – Przerwał Wernar niecierpliwie. – Mam ze sobą drewnianą szkatułkę, jeśli uda się umieścić tam kryształ nie dotykawszy go, będzie można go

bezpiecznie nosić. Nie wiemy co zastaniemy po dojściu na miejsce, więc ty nekromanto będziesz musiał nas informować o wszystkim co wyda ci się istotne. Naszą domeną jest szybkość nóg i szybkość ostrzy, więc jeśli dasz nam magiczne wsparcie na tyle, byśmy mogli doskoczyć do przeciwnika – kimkolwiek by on nie był – stal załatwi sprawę. Sygnał ataku daję ja, gdyby zrobiło się krucho ktokolwiek z nas musi wynieść kryształ. Jedna osoba musi pozostać żywa i dostarczyć go do komandorii zakonu w Munsterburgu. Tam zostanie ona nagrodzona zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami. I jeszcze jedno. Varthanis, nie wąż się bezcześcić ciał zmarłych. Znam doskonale powody, dla których zmarli byłiby ci przydatni, ale na wielką Toledę, nie będę w stanie odpuścić ci tak wielkiej zbrodni przeciw równowadze i będę musiał cię zabić.

- Będzie jak zechcesz, rycerzu. Zdajesz sobie sprawę, że sam sobie utrudniasz wykonanie arcyważnego zadania, lecz jeśli wolisz być prawym, miast skutecznym, twoja wola zostanie spełniona.

\*\*\*

Nienaturalna, złocista poświata nasilała się wraz ze zbliżaniem się do szczytu góry, zwanej przez tubylców Lisianką. Zostałaby nazwana zgoła inaczej, gdyby ktoś pamiętał, że w istocie w tym miejscu wieki temu spadł Okanogan, przyczyna tak zwanej Smoczej Wojny. Zbyt trudny do zabicia, został zmieniony w skałę, a spoczywać miał dopóty, dopóki nie znajdzie się mag zdolny do ostatecznego zglądzenia go. Tym magiem miał być potomek Vennara, tego, który doprowadził do petryfikacji smoka. Wierzył, że jego krew jest na tyle potężna, że w którymś z następnych pokoleń zrodzi się osoba mająca odpowiednią moc. Aby jej pomóc stworzył Smoczy Kryształ, ogromnie potężny katalizator zaklęć, a zabezpieczył go tak, że zabije on każdą osobę, która go dotknie, za wyjątkiem takiej, w której płynie krew jego rodu.

Dziwny blask wydawał się być na tyle silny, żeby rozświetlić mrok nocy, ale gdy Wernar patrzył pod nogi wciąż widział tylko ciemność. Jego ciało było spięte, za to umysł czysty i napełniony wiarą. Nie był kapłanem, lecz służył dość długo, by nauczyć się kilku silnych modlitw dziękczynnych i błagalnych, które pozwalały skupić na sobie łaskawe spojrzenie Pani, potrafiące dodać sił i uchronić przed niebezpieczeństwem. Miał nadzieję, że i tym razem aura Toledy mu pomoże, a jeśli nie ona to magiczna zasłona, którą roztoczył naokoło Varthanis, twierdząc, że może pomóc. Zaklęcie, które wypowiedział starzec ustami młodej kobiety brzmiało tak plugawie i bluźnierczo zarazem, że zjeżyło włosy na karku wszystkim obecnym. Kolejny raz rycerz Zakonu Początku Świata spojrzął na nekromantę z odrazą i powątpiewaniem, czy jego obecność nie jest obrazą w oczach Bogów i czy nie sprowadzi na nich nieszczęścia. Lecz nie było czasu na rozważania. Czas płynął, a już nawet elfy zaczęły zwracać uwagę na powietrze, naładowane silną magią, nie zwiastującą niczego dobrego. Pochód przyspieszył, a Wernar kłął, zostając w tyle jako ten który nie miał daru dobrego widzenia w ciemnościach oraz umiejętności poruszania się w lesie szybko i cicho niczym wampir ruszający na żer. W istocie, Enid i Onfis nie mieli z tym problemu, przemykali cicho i czujnie, przeskakując przez wykroty, omijając zmurszałe pnie i niskie konary. Varthanis również szedł szybkim, zdecydowanym krokiem, choć wydawać się mogło, że to pnie i konary same ustępowały mu miejsca. Wernar kłął.

Najeżona ostrymi jak kolce skałami wąska grań wznosiła się. Wokół rosły niewysokie sosny, wszystko zaś skąpane było w złocistożółtym, nienaturalnym świetle.

Musimy biec! – Zakrzyknął nekromanta. – Tam się coś zaczęło!

Ruszyli natychmiast biegiem, przeskakując nad przeszkodami. Na przedzie Onfis, ramię w ramię z Enid, której długi warkocz podskakiwał w rytm długich, sarnich susów. Ich wielkie elfie oczy lśniły z podekscytowania, jakim napawała nieunikniona bitka z nieznanym przeciwnikiem. Za nimi Varthanis w swej łopoczącej, kruczoczarnej szacie i na końcu Wernar, starający się dotrzymać im kroku. Biegli w milczeniu, szaleńczym pędem, zgubiwszy dawno wąską, wznoszącą się ścieżkę, teraz

kierowali się prosto do źródła blasku, a będąc coraz bliżej mogli usłyszeć płynącą stamtąd wibrującą melodię, śpiewaną niskim kobiecym głosem.

Wypadli z objęć drzew wprost na łysy szczyt, gdzie znajdowały się tylko dwie osoby. W samym środku usypanego z białego proszku kręgu, na którego obwodzie paliły się świece klęczał młody mężczyzna, ubrany w wojskową koszulę i kilt w rodowych barwach, który zaadaptowany od krasnoludów modny bywał jedynie wśród tryntyjskiej pogranicznej szlachty. Jego ramiona były rozkrzyżowane, jak gdyby był trzymany na niewidzialnych więzach, a na okolonej lekkim zarostem twarzy malował mu się przejmujący ból.

„Olaf” – przemknęło przez myśl zarówno obojgu elfom, jak i nekromancie, którzy znali go dobrze, bo zetknęli się z nim już wcześniej w Wergundzkim obozie jenieckim.

Na zewnątrz kręgu stała kobieta w obcym stroju. Ją również poznali. Lirion. Długie włosy z pozaplatanym mnóstwem warkoczyków. Lekka, skórzana kamizela. Bardzo szeroki pas z mnóstwem kieszonek i uchwytów. Do pasa przymocowane małe sakiewki, czerwona figurka smoka i niezwykle piękny sztylet w srebrnej pochwie. Przybyszka z północy, wróg. Smoczy jeździec, który nie umarł, gdyż smok z nim połączony wciąż żył. A ona dążyła tylko do tego, by złamać prastare zaklęcie. Po to potrzebny jej był kryształ. A ów leżał na postumencie, tuż obok Olafa i emanował potężną magiczną energią, widzialną jako światło rozjaśniające mrok nocy. Powietrze wokół zdawało się być naelektryzowane, zaś nie słychać było nic oprócz ciszy. I śpiewu. Wysokiego, wibrującego, zdającego się być jakby tęsknym, ale zarazem potężnym i dominującym.

Światło kryształu wystrzeliło promieniami, oślepiającymi jak milion słońc. Potem wybuchł ogłuszający huk, który rozszedł się zwielnokrotnionym echem po okolicznych dolinach. Miejsce, gdzie klęczał Olaf rozdarło się niczym utkany z mroku worek. Potężna fala energii rzuciła na ziemię Wernara i jego towarzyszy. Wszyscy zdali sobie sprawę z jednej rzeczy. Nie zdążyli.

Promienie dobywające się z katalizatora zamknęły się w nim i na powrót stał się tylko oszlifowanym kryształem z inkluzją widmowego smoka. Na powrót zapanowała ciemność, rozjaśniana lekko przez świece i delikatne światło księżyca. Powiew zimnego wiatru owiał dwie stojące postaci. Twarz Lirion pobladła, pięści się zacisnęły. Wytrzeszczonymi z zaskoczenia i strachu oczami spoglądała na mężczyznę, stojącego przed nią. A ów, potężnie zbudowany, bardzo wysoki blondyn zdawał się być jeszcze bardziej zdumiony sytuacją niż ona. Z niedowierzaniem spoglądał na wnętrza swoich dłoni, zginając i prostując palce. A potem podniósł głowę i ich spojrzenia spotkały się. Poznała go od razu, on ją dopiero po krótkiej, jak muśnięcie skrzydeł motyla chwili. Miała nadzieję, że jej nie poznał, dopóki nie dostrzegła błysku w jego oku. I w tej chwili posłała w niego śmierć. Szybki gest dłonią oraz trzy krótkie, melodyjne słowa, mające spopielić mu mózg. Okiem swej jaźni spostrzegła wąską wiązkę trzech splątanych promieni, która pomknęła w jego stronę. Ale miała za sobą wyczerpujący rytuał, nie miała zbyt wiele sił. Zaklęcie wniknęło w delikatną strukturę aury otaczającej mężczyznę z wyraźnym trudem, godząc w niego z mocą nie mogącą uczynić mu krzywdy. Jednakże zachwiało nim i zmusiło do przyklęknięcia. Wykorzystała to i rzuciła sztylet. Perfekcyjnie wyważony, wykuty przez mistrzów północy cichy zabójca. Z tej odległości nie mogła chybić. I nie chybiła. Ale przeciwnik odbił sztylet dłonią. Był szybki. I wyglądał na wkurzonego. Tym razem wiązka kolorowych promieni napotkała jego szybką replikę. Wokół na powrót rozbłysło i huknęło. Ona odskoczyła w bok, przeturlała się, próbując zyskać na czasie i skupić się na skuteczniejszym zaklęciu. On stanął wyprostowany z rozłożonymi ramionami, chłonąc energię z wiatru, ziemi i wszystkiego wokół. Powietrze wokół niego zgęstniało. Wtem w jego stronę poleciały zewsząd kamienie i głązy, wiedzione wolą Smoczej Pani. Zmuszony był uchylić się i odbiec parę kroków, a w ślad za nim śmignęła jaskrawozielona błyskawica. Wycelowana prosto w serce, o centymetry chybiła celu dzięki kilku szybko rzuconym słowom. Musnęła mu tylko bok, zwęglając skórę, czego nawet nie miał czasu poczuć, bo po jednej błyskawicy nadlatywały kolejne. Magini z północy stała z obłędem w oczach, gestykulując, a śpiewne inkantacje zlewały się w jedną melodię, zagłuszaną hukiem

chybiających błyskawic, które roztrzaskiwały skały i obalały drzewa. Przybysz był w opałach, unikał pocisków jak tylko mógł, to odskakując, to odbijając je szybkimi zakłęciami.

Wernar i jego kompania starali się odczołgać jak najdalej miejsc, gdzie padały, modląc się, żeby nie ucierpieć od żadnego zabłąkanego pioruna.

Mag był cierpliwy i skupiony. Unikając piorunów starał się jednocześnie usnuć swoje zakłęcie, mające zaskoczyć przeciwniczkę i zmusić do poddania. Problemem było to, że miał mało sił i bardzo, bardzo dawno nie posługiwał się magią, więc wyszedł trochę z wprawy. Ale z każdą sekundą coraz łatwiej przychodziło mu unikanie kolejnych serii, a z czasem potrafił już jednocześnie ukradkiem kraść z nich część ich magicznej energii. Odskakując i klucząc starał się przybliżyć do wściekle miotającej zakłęcie za zakłęciem Lirion. Chciał być bliżej i wejrzeć w jej aurę, lecz ona domyśliła się tego i otoczyła go gęstą, czarną mgłą, zmuszając go do zmiany zakłęcia obronnego, dzięki czemu zyskała na czasie i oddaliła się na stosowną odległość. Mag szybko zwalczył mroczną zasłonę, w samą porę, by zobaczyć lecącą w jego stronę kulę ognia. I już miał ją odbić, tak jak radził sobie z błyskawicami, kiedy uwagę jego zwróciło delikatne mrowienie z tyłu głowy. Bez odwracania się wiedział, że w kierunku jego pleców leci jej lustrzane odbicie, które miało ugodzić w niego w momencie odbijania tamtej. Nie był w stanie odbić dwóch naraz. Dlatego nie zrobił nic, oprócz zagęszczenia swej aury i otoczenia się nią, jak twardą skorupą.

Niewyobrazalna moc wniknęła w niego, zamieniając krew w płynny ogień, który uderzył mu do głowy niczym młot. Wszystko wokół nabrało koloru czerwieni, łącznie z myślami i emocjami, cały świat spłynął żarem, a z nim wspomnienia i nadzieje. Wiedział, że jeszcze chwila i podda się, pozwalając mu się strawić, dlatego ostatnie co zrobił to wyrzucenie go z siebie, rozpaczliwym wysiłkiem woli. Pozwolił by cały płomień, który go wypełnił spłynął w kierunku jego dłoni, po czym ukształtował go w widzialną postać i pchnął z całych sił. Na koniec padł nieprzytomny i bez sił.

Nie miała czasu na reakcję. Nie miała czasu nawet na zdziwienie. Płynny ogień wypełnił jej żyły i eksplodował żarem, pożerając ciało i duszę.

\*\*\*

- Uważajcie na cholerny krąg! Jeszcze go nie wygasilem!

Czekałem cierpliwie, aż nekromanta skończy wygaszanie, przyglądając się zmianom, jakie zaszły w okolicy. Tu i ówdzie pojawiły się kratery, kilkanaście sosen zmieniło się w olbrzymie pochodnie, ogień jednak nie rozprzestrzenił się, zdawał się nawet nie mieć ochoty na powolne spopielanie drzew, które ogarnął. Czuć jeszcze było naokoło coś, co powodowało elektryzowanie się włosów i suchość w gardle. Czułem się dziwnie. Bez mojego udziału, rozegrały się tu wydarzenia, które nie do końca pojąłem. Nie było już Olafa. Został po nim tylko kraciasty kilt i koszula. A obok nich kryształ z inkluzją smoka, ten, po którego przyszedłem, by nie pozwolić mu na dalsze działanie. Przypomniałem sobie o instrukcjach, które dostałem od Ernsta dar Haubrice. Nie wyglądało mi na to, żeby jutrzejsze negocjacje mogły się odbyć w obecności następcy tronu... Wtem, wciąż rozglądając się, dostrzegłem trzy migoczące punkty w oddali.

- Onfis, na co ci to wygląda?

- To pochodnie. – Odpowiedział elf, wyężając wzrok. – Widzę minimum pięć osób, wygląda na to, że zmierzają wprost ku nam.

- Szlag. W takim razie szybko. Ja zabieram kryształ. Zapamiętajcie gdzie go ukryję, w razie zadymy ktoś musi go wynieść niepostrzeżenie i przenieść do bezpiecznego miejsca. Teraz otaczamy teren i czekamy. Zobaczymy kogo zaś licho niesie.

Szybko wszedłem w krąg i za pomocą patyka zgarąłem kryształ do niepozornej drewnianej skrzyneczki wzmocnionej runami ochronnymi. Zbiegłem ze skalistej grani w głębszy las i ukryłem ją pod charakterystycznym zwalonym pniem. Po czym wróciłem na górę i padłem na ziemię obok



Onfisa. Nurtowało mnie najście, ale miałem przecucie, że wiem kim są osobnicy idący tu z pochodniami.

Nie musieliśmy długo czekać. Parę minut później wyłonili się ostrożnie oświetlając cały teren. Dziewięć osób, większość uzbrojona. Ich zdziwione miny dawały do zrozumienia, że nie spodziewali się tego co tu ujrzeni. Czuję niecierpliwe wyczekiwanie Onfisa, jednak za wszelką cenę nie mogłem dopuścić do niepotrzebnego rozlewu krwi. Postanowiłem najpierw dowiedzieć się o nich jak najwięcej, używając zdolności, której nauczyłem się przez lata posługi w zakonie, a zwałem ją roboczo „tupet jak taran”.

Wstałem, szybko wyłoniłem się z cienia i zawołałem najbardziej pewnym i władczym głosem, na jaki było mnie stać.

- Ani kroku dalej. Kim jesteście i czego tutaj szukacie? Uprzedzam, celuje w was dwudziestu łuczników więc upraszam o rozwagę.

- A kim ty jesteś? – Padło niezbyt inteligentnie zadane pytanie po dłuższej chwili milczenia, wypełnionej spłoszonymi spojrzeniami. Te spojrzenia dały mi pewność, że uderzyłem w dobrą nutę.

- Jestem Wernar z Danbergu, rycerz pierwszego stopnia Zakonu Początku Świata – powiedziałem i po ich minach wniosłem, że nie oczekiwali dostać odpowiedzi, a tym bardziej nie spodziewali się tutaj spotkać kogoś tak znacznego i nie bardzo wiedzieli co z tym zrobić. – Powtarzam pytanie, kim jesteście i czego tutaj szukacie?

- Nazywam się Frida Geisslig. – Zabrała głos niskiego wzrostu uzbrojona kobieta, sądząc po stroju arystokratka, wystąpiwszy z szeregu. – Jesteśmy... poselstwem, które przybyło na obrady. Przybyliśmy tu z karczmy, nieopodal.

Przemówiła z większą już pewnością w głosie, sądząc pewnie, że autorytet posła wpłynie jakoś na mnie. Zaiste, potwierdziły się więc moje podejrzenia, pozostało więc ustalić jak wiele wiedzą o tym, co się tu dzieło.

- Co sprowadza tutaj ciebie i twoje poselstwo Frido Geisslig, o tak późnej porze?

- Usłyszeliśmy niepokojące odgłosy – odpowiedziała, bez zastanowienia. – Huki i grzmoty więc przyszlismy sprawdzić co się dzieje.

- Ha ha ha ! - Zaśmiałem się serdecznie. – Co ty na to Onfisie? – Rzuciłem w stronę elfa, który pojawił się obok mnie. – Usłyszeli grzmoty i przybyli tu niecałe dziesięć minut po ich ustąpieniu! Musieli chyba przefrunąć ponad koronami drzew, by tak szybko się tu dostać z karczmy pod Silberbergiem. Albo muszą mieć nas za idiotów – dodałem, obniżając ton głosu.

- No więc... ale najpierw chcielibyśmy się dowiedzieć co tu się stało.

- Ależ oczywiście, powiem wam. Przed chwilą dwoje magów zrobiło tutaj krasnoludzką jesień pogranicza. Proszę teraz uprzejmie, byście raczyli odpowiedzieć na moje pytanie zgodnie z prawdą, bo zaczynam się niecierpliwić i zaraz dam rozkaz moim ludziom, by was stąd przepędzili.

- Telamont, no mów. – Usłyszałem głosy z tłumu.

- No dobrze.

Tym razem wystąpił rosły mężczyzna w czerwonej, haftowanej tunice, wyraźnie zażenowany sytuacją, w której się znalazł.

- Więc. Służyłem księciu Ołafowi Egilsonowi, następcy tronu Wergundii. Miałem za zadanie... chronić go. Jestem psionikiem. Miałem z księciem nieustanną telepatyczną więź... która kilka dni temu przerwana... Więc kiedy to się stało wyruszyliśmy natychmiast szukać go w miejscu, gdzie hmm... przerwała się nić, jeśli mogę to tak określić. Więc... może widziałeś tu kogoś jeszcze oprócz tych magów?

- Świetnych sobie ludzi dobiera ten wasz książę. – Pozwoliłem sobie zironizować. – Niestety muszę was zmartwić. Poznacie te ubrania?

- Książę! - Frida Geisslig pierwsza dopadła do rozrzuconych książęcych ubrań. – Co tu się stało?

Już miałem odpowiedzieć, kiedy poczułem, że nie mogę otworzyć ust, co więcej, całe ciało odmawia mi posłuszeństwa, kolana się uginają i ładuję na ziemi z wytrzeszczonymi oczami. Kątem oka spostrzegłem, że ze stojącym obok Onfisem stało się to samo. Jak mogłem zapomnieć o cholernym magu, który od zakończenia walki leżał nieprzytomny przez nie wiadomo jak długi czas. Wokół mnie zrobiło się małe zamieszanie, lecz nie mogłem obrócić głowy, by dojrzeć co się dzieje. Na szczęście nie minęła minuta i paraliż mięśni puścił, mogłem wstać, by nadzieć się na ... własny miecz, wycelowany we mnie przez ciemnowłosego, śniadego wojownika, wyglądającego mi na przybysza z Samnii. Obok mnie stanęła Enid z gotowym do cięcia zakrzywionym ostrzem szabli. Onfis również stracił swój oręż, ale okazało się, że miał gdzieś ukryty króciutki sztylet. Pojawił się również Varthanis, stojący na uboczu i obserwujący zajście z miną pełną pogardy.

- Co zrobiłeś Olałowi? – Wykrzyknął do mnie ktoś z gromady.

- Głupcy. – Próbowałem zachować spokój, choć zbierał się we mnie gniew, zwłaszcza za zabranie mojego poświęconego miecza, z którym byłem bardzo związany. – Spytajcie lepiej tego człowieka, który nas sparaliżował. I lepiej trzymajcie mu ostrze na gardle, bo gotów wam wszystkim zrobić to co tamtej kobiecie. A teraz chcę mój miecz i to natychmiast.

Stojący naprzeciwko mnie i grożący mi stałą znów zrobili parę głupich min, po czym człowiek o wyglądzie Samnijczyka oddał mi miecz i trzeba przyznać, że zrobił to z szacunkiem, czym zyskał moją sympatię.

Faktycznie, zainteresowanie przybyłych skupiło się na półprzytomnym z wyczerpania magu. Skorzystałem z okazji i posłałem Enid, by przeszukała pole walki, ze szczególnym uwzględnieniem miejsca gdzie Smocza Pani zamieniła się w słup ognia. Jak się później okazało, nie pozostało po niej nic oprócz kupki popiołu i owej smoczej figurki, którą nosiła zawieszoną przy pasku i nie miała ona żadnych widocznych śladów uszkodzeń. Stwierdziłem, że nie muszę informować o znalezisku nikogo oprócz naszej czwórki.

Mag został ocucony, siedział teraz na gołej skale, a w jego gardło mierzyły cztery ostrza. Zważywszy na to, czego niedawno byłem świadkiem, nie byłem pewny czy w ogóle stanowią dla niego jakiegokolwiek zagrożenie. Jednakże zachowywał całkowity spokój, widać nie tylko my chcieliśmy się od niego czegoś dowiedzieć, ale również on sam miał wiele pytań do nas.

- Zwę się Vennar. – Mówił z dziwnym akcentem, załatującym trochę mową elfów. - I nie wiem, zaprawdę jak to się stało, że tu jestem.

\*\*\*

- Vennar. Dziwne podobieństwo do twojego imienia. Śmieszny bywa los. – Wesoło zagaił Onfis.

Wyczerpani, acz zadowoleni z przebiegu owej długiej nocy wygrzewali się w ciepłe paleniska w swoim schronieniu, mogąc się w końcu posilić. Strawa była prosta, żołnierska. Gotowany w kociołku rosół z upolowanego wcześniej królika i po kilka kawałków twardego, suchego jak wiór suszonego mięsa na głowę. Jedli powoli i z namaszczeniem, żując dokładnie każdy kęs.

- Ano. – Mruknął Wernar, zatopiony w swych myślach. – Przez przypadek pozbyliśmy się jednego wroga, za to zyskaliśmy nowego, dużo silniejszego. Iście śmieszny los.

- No, ale Vennar na razie nie wie, że gwizdnęliśmy mu jego kryształ sprzed nosa, prawda? – Enid oderwała się na chwilę od miski z parującym króliczym naparem.

- Prawda, ale skąd mamy wiedzieć, kiedy się dowie? Mieliśmy szczęście, że był wyczerpany i nie kojarzył faktów, ale gdy wypocznie po nocy i porozmawia z tamtymi ludźmi z karczmy to może w końcu stwierdzić, że niepotrzebnie pozwolili nam odejść.

- Właściwie to my im pozwoliliśmy – zaśmiał się Onfis. – Bardzo wiarygodnie kłóciłeś się o to z kim ma odejść Vennar, wszyscy teraz wierzą, że są doskonałymi dyplomatami, bo udało im się

ciebie urobić. A tymczasem byłaby to ostatnia rzecz, której byśmy chcieli. Chociaż, w sumie, dlaczegośmy go nie zabili, kiedy była okazja? Był bez sił, pozbylibyśmy się problemu.

- Myślałem o tym, Onfisie. Ale on może nam być przydatny, pamiętasz jak wspomniał o ukrytej komnacie w swoim domostwie i o magicznych zabezpieczeniach. Kryształ mamy, ale skoro wraz z nim stworzył formuły pozwalające go zniszczyć, to nie możemy tracić szansy na zdobycie ich.

- Stara szkoła magii, dziś tak się już nie robi. – Wtrącił się Varthanis. – Kiedyś magowie mieli bzika na punkcie spisywania swoich zaklęć, szczegółowym rozpisywaniu esencji i energii, używanych do tworzenia artefaktów. Kto z magów teraz zavracałby sobie tym głowę.

- Aż mi się nie chce wierzyć, że żył tysiące lat temu i tak po prostu przeniósł się tutaj. – Rzekła Enid z przejęciem.

- Technicznie rzecz biorąc, to nie tak. Vennar przed wiekami użył Sztuki, by nie umrzeć, lecz przenieść się poza czas i poza przestrzeń. Nikt nie wie jak wyglądało miejsce, do którego się dostał, jeśli w ogóle miało wygląd, nie mam pojęcia też jak płynął dla niego czas. Ale fakt, że rytuał Lirion sprowadził go tu potwierdza twoją tezę, Wernarze o tym jak potężnym i niebezpiecznym przedmiotem jest katalizator. Oraz to, że los bywa bardzo zabawny. Daleki przodek Olafa z Wolsungów zamienił się z nim miejscami. Historia godna przedstawienia w Ofirskim teatrum.

- Nie jest mi wcale tak do śmiechu, nekromanto. Chociaż zniknięcie Olafa jest mi oczywiście na rękę, to tak naprawdę nikt nie ma pojęcia gdzie się podział i najważniejsze czy uznać go za martwego, czy pojawi się jeszcze wśród nas, wprowadzając znowu chaos.

- No cóż, znając niestabilność kryształu wszystko jest możliwe. Portal mógł go na przykład wypłuć w lesie w Aenthil, albo do beczki śledzi w Talsoi. Nie wiemy.

- W każdym razie jest w naszych rękach i nie zamierzam go z nich wypuszczać. Rano idziemy do ruin Białego Domku, gdzie Vennar mieszkał. Tak teraz zwane jest to miejsce, które kiedyś było przybudówką do Twierdzy. Liczę tutaj na ciebie i twoją sztukę. Wspominał coś o pułapkach.

- Ach, część już na pewno nie działa, nic nie jest wieczne. Część na pewno została uruchomiona przez rozlicznych poszukiwaczy skarbów i kłopotów. Poradzimy sobie. Elfy pójdą przodem.

- No chyba ci się coś pomieszało w tym durnym łbie! – Wykrzyczała Enid, dodając do tego parę paskudnych, marynarskich przekleństw, odnoszących się do jego preferencji seksualnych. – Ja tu mam stałą machać, a nie łązić po ruinach jak hiena cmentarna!

- Więc może zrobmy małe zamieszanie w karczmie, ha? – Rzekł Onfis z szelmowskim uśmiechem. – Oni tam pewnie śpią jak susły i niczego się nie spodziewają. Tam ponoć różni posłowie. Kropniemy parę zdradzieckich Wergundzkich łbów, przy okazji damy też w łeb temu magowi, co niechybnie powinniśmy wcześniej uczynić, po czym zwiążemy mu ręczki, żeby nie mógł czarować i przypieczemy piętki, żeby nam wyśpiewał wszystko, czego potrzebujemy.

- O, to jest dopiero zacny pomysł! – Poderwała się Enid.

- Po moim trupie! Spokój, bando zwyrodnialców! – Warknął Wernar ze złością. – Nie chcę słyszeć takich idiotycznych, bandyckich pomysłów. Nie będziemy atakować kogoś kto uważa nas ciągle za przyjaciół, w dodatku poselstwa.

- Ale Wernaar, mieliśmy tu zabijać, a nie bawić się z dyplomatami... – Jęknął Onfis.

- Basta! Albo się zamkniesz teraz, albo klnę się na Toledę, dzielę cię w twój kędzierzawy pysk. Nie godne mi słuchać podobnych bezeceństw. Rano idziemy do Białego Domku, szukamy zapisków o zniszczeniu katalizatora i wracamy w swoje strony. Potem już mi obojętne czy zgnijesz w więzieniu, czy na szafocie, na co snadnie zasługujesz.

Po tychże słowach, rozmowa się urwała, towarzysze dokonczyli posiłek, wylizawszy dokładnie miski, a po ustaleniu wart położyli się spać. Noc była ciepła, wiatr zupełnie ustał. Zapowiadał się słoneczny, bezchmurny, jesienny dzień.

\*\*\*

Zbudzili się niedługo po wschodzie słońca. Szybki poranny posiłek zjedli w milczeniu. Przed wyruszeniem w drogę wpadł im jednak do głowy pewien pomysł.

- Wernar, zamierzasz gdzieś ukryć kryształ, czy będziesz biegał ze skrzynką mającą się w torbie na ramieniu? – rzucił z ciekawością Varthanis.

- Zastanawiałem się nad tym. Nie wydaje mi się rozsądne ukrywanie go. Stwórca mógłby go chyba zlokalizować magicznie i po prostu zabrać ze schowka. A ja, mając go przy sobie będę mógł przynajmniej próbować go obronić.

- Gdybyś chciał go schować, mógłbym przygotować kilka sprytnych zaklęć ochronnych.

- Czy jednak poszukujący go mag nie będzie wyczulony na tym punkcie? Hmm. Czekaj, mam pomysł. Możesz rzucić zaklęcie ochronne na dowolny schowek prawda? Na przykład na tę skrzyneczkę, w której go noszę? I sprawić, by zadziałało na każdego kto jej dotknie, oprócz mnie?

- Oczywiście. – Skłonił się nekromanta z uśmiechem. – Ale pod warunkiem, że oprócz ciebie nie będzie działała również na mnie. Sugerowałbym wciągnąć w to jeszcze te dwa elfy. Raczej nie mają związanych z katalizatorem własnych interesów, a gdyby przyszło do uciekania, to są z nas najszybsi.

- W porządku.

- Co powiesz na paraliż, ciężki krwotok i powolny rozkład, które osiągną niepowołanego?

- Wyśmienicie.

Nie czekała ich daleka droga. Zeszli szerokim szlakiem do przełęczy, znajdującej się kilkaset kroków od Karczmy pod Silberbergiem. Góry wydawały się dużo przyjaźniejsze niż w nocy. Zimne, rażące promienie porannego słońca przebijały się przez korony drzew, rozświetlając liście w różnych odcieniach brązów i zieleni. Czuć było świeży zapach ściółki, na mchach połyskiwały kropelki rosy. Na przełęczy skręcili w wąską, ostro wznoszącą się ścieżkę, prowadzącą wprost na olbrzymią twierdzę, wybudowaną tak dawno, że pamięć o jej budowniczych utonęła w mrokach dziejów.

Po dojściu na szczyt znaleźli się na skraju głębokiej fosy, okalającej gładkie, kamienne ściany twierdzy. Pomimo setek, a może tysięcy lat, szczeliny między ciemnymi kamieniami były prawie niedostrzegalne, mur był groźny i niedostępny. Tylko we wnętrzu fosy i na jej zewnętrznym skraju zdążyła rozplenić się dzika roślinność, niby wojsko, próbujące powoli przedrzeć się na mury.

Zejście do fosy okazało się niezbyt trudne. W jednym miejscu, zewnętrzna ściana fosy obsunęła się, tworząc nasyp, po którym można było zejść w dół. A będąc na dnie wystarczyło przedrzeć się do miejsca, gdzie niegdyś stała brama, połączona z przeciwległym brzegiem zapewne drewnianym mostem. Po moście zabrakło śladu, z bramy został jedynie szeroki otwór, przez który, jeśli się wspięło do niego po murze można było dostać się na dziedziniec.

Weszli powoli, z bronią na podorędziu, rozglądając się wokoło. Krótki korytarz na końcu którego widniało wyjście na dziedziniec miał dwa boczne odgałężenia. Wernar uznał za najodpowiedniejsze rozdzielenie się i szybkie z grubsza rozpoznanie terenu, lecz nie zdołał nawet rozejrzeć się po przyległej do korytarza kazamacie, kiedy podbiegł do niego Onfis z miną partyzanta.

- Wernar, są tu. Ci, co wczoraj, są na dziedzińcu. Zbierają się i gadają. Dziewięć osób.

- Jest z nimi mag Vennar?

- Nie zauważyłem.

- Więc zakradnij się i zbadaj dokładniej co tam się dzieje. My będziemy tu czatować.

W razie wpadki biegnij korytarzem, którym przybyliśmy, tak jakbyś chciał uciekać. W razie większej wpadki ratuj kryształ. Patrz, zaraz schowam go w tamtej wnęce. – Gestem pokazał elfowi małe okienko, które mogło służyć kiedyś jako wlot ciepłego powietrza z komina.

- Tak jest. – Powiedział Onfis i zniknął bezszelestnie.

Rycerz czym prędzej przywołał do siebie resztę kompanii. Postanowił ukryć się w dwóch przyległych do korytarza pomieszczeniach, by móc w razie czego zaatakować z zaskoczenia. Zakładając, że niczego nieświadomi intruzi nie wysłą przodem zwiadu. Ale o to postanowił się modlić, mając nadzieję, że Pani nie poskapi mu swojej łaski.

- Jest z nimi mag, mają jakieś papiery. – Zdał raport Onfis.

- Kurwa ich mać! Wybacz, o Pani. Dobrze, w takim razie Onfis z Enid do drugiej kazamaty. Varthanis do mnie. Atakujemy na mój sygnał. Najpierw wyeliminować Vennara. Jest ich dwakroć więcej, ale po naszej stronie jest element zaskoczenia. Nie zabijać wszystkich. Szukać ludzi, mających papiery. No już, szybko, na pozycje, powodzenia.

Towarzyszom nie trzeba było dwa razy powtarzać, kilka sekund po wydaniu komend zapadła pełna napięcia cisza. A parę minut później dało się słyszeć odgłos kroków grupy osób.

Wernar czekał cierpliwie, przyklejony do ściany, aż pierwsza osoba minie wejście, druga, czwarta. „Teraz”, skinął głową do Varthanisa i jednocześnie sprężył się do skoku. Wokół nekromanty roztoczył się trupi smród, kiedy wyrzucił z siebie formułę wyssania energii życiowej z przeciwników. Zdziwił się jednak, gdy dotarła do niego ledwie słaba cząstka z tego co spodziewał się otrzymać. Widocznie aura Vennara była tak silna, że działała na wszystkich, a w nią samą trochę bał się ingerować.

Wernar skoczył w środek grupy, silnie uderzając barkiem w najbliższą osobę, wytrącając ją z równowagi. Z rozmachu trzepnął ją jeszcze pięścią w skórzanej rękawicy i nie zatracając pędu obrócił się na pięcie, by następnego przeciwnika zdzielić w twarz głowicą miecza. Ciemnowłosy mężczyzna, naprzeciw którego stanął miał jednak szybki refleks i zdążył odskoczyć przed ciosem, wyciągając jednocześnie swój miecz. Kątem oka Rycerz zobaczył wypadających z naprzeciwka kompanów. Enid, z mistrzowską precyzją chlasnęła swą czarną szablą rozcinając udo jakiegoś młodzieńca. Onfis nie miał tyle szczęścia, gdyż został rzucony o ścianę zaklęciem jednego z magów. Varthanis tym razem spróbował paraliżu, który napotkał kontrzaklęcie Vennara. Kontrowanie zaklęć odwracało jego uwagę od reszty, więc nekromanta starał się rzucać czym prędzej zaklęcia o coraz to innej strukturze, aby zając przeciwnika.

Tymczasem Wernar toczył pojedynek z ciemnowłosym o stalowym spojrzeniu. Rozpoznał w nim Samnijczyka, który poprzedniej nocy zwrócił mu miecz. Zwarcie, rozejście. Błysk stali. Wernar musiał zbijać jego ciosy, jednocześnie uważając, by nie dać się otoczyć. Błyskawiczny piruet, silny cios w miecz zbliżającej się do niego z tyłu kobiety w skórzanej zbroi, dający mu ćwierć sekundy na odskoczenie. Prosto pod ostrze kolejnego przeciwnika, które zbił Onfis szybkim uderzeniem jednego ze sztyletów, równocześnie zadając cios drugim. Varthanis czuł że zaczyna brakować mu inwencji, jego czary były zupełnie nieskuteczne, co więcej zdawały się odbierać mu więcej energii niż powinny.

Enid przyparta plecami do muru przez dwoje przeciwników broniła się jak lwica, lecz jej umysł udało się opętać psionikowi w bogato haftowanej tunice, w wyniku czego padła na ziemię nieprzytomna.

Wernar tym razem zaatakował Samnijczyka bardziej zdecydowanie, używając finty i podcięcia, następnie zrobił profilaktyczny półpiruet i naprzeciw siebie zobaczył Vennara, szepczącego zaklęcie. Odruchowo wykonał skok, mający zakończyć się śmiertelnym wypadem do pchnięcia. W ułamku sekundy poczuł mrowienie na ciele, jego runiczna zbroja oparła się zaklęciu, a morderczy cios został zbity, bowiem w rękę maga pojawił się nagle miecz. Nagle wszystko rozplynęło się we mgle, rycerz poczuł, że traci siły i upada.

Obudził go kilkoma wymierzonymi policzkami wykwintnie ubrany, niewysoki jegomość, jeden z tych, z którymi walczyli. Podniósłszy się na łokciach, Wernar odkrył ze zdziwieniem, że w dłoni ściska zwitek papieru. „Jestem ofirskim dyplomatą, wiernym zakonowi, nie mogę się ujawnić,

przed moimi towarzyszami. Będę posłuszny wszelkim rozkazom. Aleksander Marlowe”, odczytał ukradkiem, z ukontentowaniem. Sojusznik w obozie wroga, to bardzo cenna rzecz.

Tymczasem sytuacja nie wydawała się pomyślna dla rycerza zakonu. Naprzeciw niego i jego kompanów stała dwukrotnie liczniejsza ilość ludzi, na dodatek wspierana przez potężnego maga.

Tutaj powinien nastąpić długi opis nudnej rozmowy, którą prowadzili bohaterowie, jednakże autorowi tych słów nie chce się jej opisywać, chciałby już przejść do opisu ostatniej bitwy, dlatego poprzestanie on na krótkim streszczeniu, oraz opowie o zwyczajach żywieniowych langusty.

Wernar i jego kompania dowiedzieli się, że Vennar dąży do powrotu do swoich sfer astralnych. Jednocześnie poselstwa chciałyby sprowadzić z powrotem księcia Olafa. Postanowili więc razem pomóc mu w znalezieniu ważnych zapisków, dotyczących katalizatora, który prawdopodobnie jest potrzebny do wykonania tego. Znaleźli różne dokumenty, jednak każdy znalazca zatrzymał je przy sobie, aby wykorzystać je w targach i ugrać coś dla siebie. Postanowiono spotkać się w karczmie pod Silberbergiem i tam zdecydować o przyszłych działaniach. Zaproszono również reprezentację Zakonu Początku Świata w osobach Wernara i jego świty. Na koniec, gdy grupa dyplomatów oddaliła się w stronę karczmy, udało się ogłuszyć Telamonta, w nadziei, że będzie miał on przy sobie coś istotnego dla misji. Niestety, miał on tylko drogocenny kielich. Odebrano mu go, zmieniono pamięć i wypuszczono. A teraz trochę o languscie: Langusta, wbrew obiegowej opinii żywi się wyłącznie owocami morza... choć, gdyby mogła, jadłaby dżem. Wracajmy do opowieści.

\*\*\*

Znajomy widok karczmy pod Silberbergiem ucieszył przybyszy, którzy mogli powrócić do wspomnień z nią związanych. Zapach grubych, sosnowych belek przypominał im godziny spędzone w środku na rozmowach, planach i rozmaitych rozrywkach. Z dziedzińca roztaczał się niesamowity widok na odległe w oddali Góry Bardów. Byli skazańcy wspomnieli plac apelowy, na którym kwitło życie obozowe, często miały miejsce przykre sceny, ale tam też walczyli o swoją wolność w buncie przeciwko strażnikom. Maszt, na który codziennie wciągano flagę Wegundii stał obecnie nagi, bez jakichkolwiek symboli. Słońce świeciło bardzo jasno na bezchmurnym niebie.

Rozmowy zamilkły, gdy Wernar, Varthanis, Enid i Onfis pojawili się wewnątrz. Zgromadzone osoby grzały się przy żarzących się nieśmiało w palenisku resztkach węgla. Wszystkie, oprócz jednej były już znane przybyszom. Nieznajomy, który teraz wstał, by przywitać się, był wysokim, mężczyzną, dość znacznej tuszy. Twarz szpeciła mu podłużna blizna, przechodząca od szerokiego czoła, przez oczodół zakryty czarną przepaską, do policzka. W odsłoniętym oku błyszczała przebiegłość i inteligencja. Obie dłonie zdobiły złote pierścienie i bransolety, nabijane drogimi kamieniami. Nosił coś na kształt wergundzkiego stroju oficerskiego, jednak bez jakichkolwiek insygniów.

- Witam czcigodnych przedstawicieli zakonu. – Powiedział, wykonując dworski ukłon, nie odrywając jednak wzroku od Wernara. – Zwę się margraf Magnus la Tourrée, jestem skromnym przedstawicielem Jego Wysokości Księcia Wergundii, Dakonii, Teralii, Parvenii, Daramonu, Protektora ziem Samnijskich, Tryntyjskich, oraz Liryzji, Eudomara, syna Drengira.

- Witam. Zwę się Wernar z Danbergu, jestem prostym rycerzem Zakonu Początku Świata. – Rzekł Wernar, z przekąsem. - A oto moi towarzysze, Onfis in'Tebri, Enid aep'Earde i Marion.

- Varthanis. – Poprawił Varthanis.

- Ha ha – Rubasznie zaśmiał się Magnus la Tourrée. – W istocie, doszły mnie słuchy o tym jakże ciekawym przypadku zamiany osobowości, więc moi rycerzu, nie musicie ukrywać przede mną prawdziwej tożsamości swojego zacnego towarzysza. Wiem o każdym z nich więcej, niż ci się wydaje.

- Dość już powitań, może przejdźmy do rzeczy? – Wtrąciła z uśmiechem Frida Geissig.

- Właśnie – dodała wysoka Tryntyjka w bojowym stroju, która brała udział w wydarzeniach porannych – Jestem tu desygnowana przez mojego jarla, więc pełnię tutaj niejako rolę gospodarza. Proszę zatem o zajęcie miejsc, zaraz każę donieść piwa i jadła.

- A więc. – Rozpoczął margraf la Tourrée, gdy już wszyscy zasiedli w kręgu naokoło paleniska. – Mamy tu nie lada problem. Przed waszym przyjściem mości Wernarze zostałem poinformowany o przebiegu wydarzeń ostatniej doby. Przybyliśmy decydować być może o przyszłości nas wszystkich, a zabrakło najważniejszej osoby.

- Nie udawaj, że nie jest ci to na rękę. – Rzekł Samnijczyk, imieniem Uter Tarhanita. – Skoro Olaf zniknął, Eudomar może dalej sprawować swe tyrańskie rządy.

- Nic bardziej mylnego. W Wergundii ruszyła machina, którą uruchomił wasz przyjaciel. Zamieszki, bunt, atmosfera wysoce nieprzyjazna. Powiedzmy sobie szczerze, księżę Eudomar już nie porządzi. Oczywiście, nie da się go też usunąć z tronu siłą. Ale chce on przekazać tron godnej osobie.

- Jest więcej pretendentów – stwierdził Wernar. – Są stare wergundzkie rody.

- Chcesz oddać koronę Orwidorowi? – spytała druidka Kharie, wywołując wokół salwę śmiechu. – Ten baran nie nadaje się do rządzenia krajem.

- Każdego przywódcę wyzywałby na pojedynek – dodała psioniczka Nissha, wywołując kolejny wybuch śmiechu.

- A wasz Olaf jakie ma kompetencje? Dorastał jako tryntyjski zaściankowy szlachcic, nie ma zielonego pojęcia o dowodzeniu. Orwidor z rodu Mawarot, odebrał przynajmniej ogólne wykształcenie, takie jakie od wieków przekazuje się w starych rodach. Wie więcej o dyplomacji i militarystyce niż Olaf, a nawet jeśli nie, to z pewnością dobrać sobie mądrych doradców.

- Taak. – Odpowiedział przeciągle la Tourrée, łypiąc chytrze okiem. – Nie dziwię się, żeś jest takim orędownikiem starych rodów. Zdaje się, że was tam w zakonie nieźle opłacają, nie?

- Śmiesz sugerować, że jestem opłacony? To hańba dla mnie słyszeć takie oszczerstwo. Rycerz Zakonu Początku Świata zawsze działa honorowo i moralnie.

- Taaaaak. Mam nadzieję, żeś nie jest taki moralny jak reszta swoich towarzyszy – Uśmiechnął się margraf z tryumfem. – Za moich czasów zakon nie dopuszczał w swe szeregi złodziei i morderców.

Ostatnie słowa wergundzkiego dyplomaty wyraźnie rozbawiły zgromadzonych. Po twarzy Wernara przebiegł wściekły grymas, ale zacisnął szczęki i opanował się. Odczekał, aż ucichną szyderstwa i odpowiedział z udawanym spokojem.

- Oni nie są w służbie zakonu. To zwykli najemnicy, ochroniarze. Znajdź mi najemnika bez szemranej przeszłości, życzę powodzenia. W każdym razie, wergundzki obyczaj każe wybrać następcę tronu wśród potomków najstarszych arystokratycznych rodów, których już wiele nie zostało. Mawarot, Bronore, Tiglitz.

- Nie zgodzimy się na to. Wergundia nie chce więcej rządów starych rodów. – Oburzyła się Frida Geisslig. – Olaf nie umarł, można go odnaleźć.

- Ha, niby jak?

- O tym już może opowiedzieć nasz gość z przeszłości, pan Vennar. – odparł margraf

- Słuchamy.

- Cóż... – Zaczął stary mag, w zamyśleniu spoglądając gdzieś w dal. – Jak już mówiłem, podejrzewam jak doszło do tego, że się tu pojawiłem. Nieudany rytuał musiał zostać odprawiony w miejscu przecięcia się niewidzialnych linii czasu. Tak otworzył się rodzaj tunelu, który zamienił mnie miejscami z księciem. Gdyby powtórzyć rytuał z wykorzystaniem tych samych komponentów, w tym samym miejscu, sytuacja musiałaby się powtórzyć. Oczywiście nie gwarantuję

powodzenia, ale co szkodzi. Ja w każdym razie będę próbował. Nie ze względu na mojego potomka, lecz ze względu na siebie, bo nie mam zamiaru naruszać swą obecnością równowagi waszego świata. Ale żeby odtworzyć rytuał muszę odzyskać jeszcze jedną rzecz, należącą do mnie.

Oczy wszystkich zwróciły się na Wernara, który ze stoickim spokojem zakomunikował:

- Nie oddam go, ani nie powiem ci, gdzie jest. Bowiem obawiam się, że nie mogę dopuścić, by Olaf Egilson zasiadł na tronie Wergundii.

- Coooo ? – Słowa niedowierzania, wymknęły się z ust prawie wszystkich zgromadzonych, którzy z oczami napelnionymi zdziwieniem i oburzeniem jęli się przekrzykiwać, dowodząc niegodziwości zasłyszanego stwierdzenia.

- Ponieważ mam poważne powody, by twierdzić, że jest on niebezpieczny, tak samo zresztą, jak katalizator, który ukryłem w bezpiecznym miejscu. I w istocie, mości Vennarze, uważam, z czym zgadza się twój kolega po fachu Varthanis, że to on był przyczyną zamieszania, w którym bierzemy udział. Pamiętacie pewnie Dur-an-Kraigh, po krasnoludzką Korzeń Gór, a w nim Ścieżki Szaleństwa, gdyż niektórzy z was mieli nieprzyjemność być w tamtym miejscu. Otóż, jak dowodzą badacze, z mojego zakonu, aura tego przeklętego miejsca zmieniła magiczne właściwości kryształu, z którym, chciałbym zauważyć Olaf się nie rozstawał. Stał się on...

- Niestabilny – dokończył Varthanis.

- Dziękuję. Niestabilny. Zamiast wzmacniać zakłęcia, przeinacza je. Kilkoro ludzi odniosło poważny uszczerbek na zdrowiu, obcując z nim. I jest prawie pewne, że wpłynął na Olafa, skalając go tym samym. Nie wiadomo jak będzie funkcjonował człowiek skalany mocą Ścieżek, nie wiadomo czy nie będzie roznosił swego szaleństwa jeszcze dalej...

- To jakiś nonsens! – wykrzyknęła Frida Geisslig.

- Właśnie. – Dodał Telamont. – Przebywałem z Olafem i zapewniam, że jest tak samo normalnym człowiekiem, jak w dniu, w którym go poznaliśmy.

- Być może natura kryształu jeszcze nie zmieniła go zauważalnie. Może objawia się to na razie tylko w jego umyśle, nie w zachowaniu. Człowiek, który miał z nim tak długą styczność jak Olaf nie powinien rządzić państwem. Historia zna już przypadki takich spacjeń, Varthanis może wam o tym wiele opowiedzieć.

- Dur-an-Kraigh to złe i dziwne miejsce. – Rzekł zafrasowany Vennar. – Zakonnik może mieć rację.

- Ależ w takim razie sprawdzimy to. – Zabrał głos la Tourrée. - Sprowadzimy tu Olafa i zbadamy jak się rzeczy mają. Jeśli okaże się faktycznie, że coś jest z nim nie tak, knę się na Modwita, że nie dopuścimy do zajęcia przez niego tronu.

- Akurat wy, czyli słudzy Eudomara niewiele będziecie mieli na ten temat do powiedzenia. Eudomar nie ma już poparcia.

- Młody człowieku, nie doceniasz księcia protektora. Wybacz, ale nie sędzę, żebyś pojmował subtelne zawiłości polityki. Ale z pewnością doceniasz przyjaźń. Rozejrzyj się. Ci ludzie znają i szanują Olafa i nie pozwolą sobie na bierność, tylko dlatego że Zakon Początku Świata znów mówi im co jest dla nich dobre.

- Tylko spokojnie, panowie. Jesteśmy tu, żeby rozmawiać, w pokojowej atmosferze. – wtrąciła spokojnym głosem Svala Skogdottir, przedstawicielka Tryntu.

- Przecież rozmawiamy – odpowiedział Wernar. – Rzecz w tym, że część zebranych powinna chyba odrzucić swoje osobiste sympatie i przemyśleć co mają do zyskania. Co przez ostatnie miesiące zrobił Olaf dla Tryntu? Uczynił jakieś kroki w celu zniesienia protektoratu? Chyba powinna tu powiewać tryntyjska flaga. Widzę tu Samnijczyka. Jesteś pewien, że Olaf zasiadając na tronie zapewni wam wolność? Również chyba nigdy się nie zająknął na ten temat, chociaż wiec narodów, o



którym się już wiele mówi na świecie, ustanowił przymierze na czas wojny. Na czas wojny. A co po zakończeniu?

- Samnia nie spocznie, póki nie wywalczy sobie wolności. – Rzekł twardo Uter.

- Oczywiście. Ale kto wie ile jeszcze będzie musiała walczyć.

- Szanowni zgromadzeni – zabrał głos Magnus la Tourrée. – Zapewniam was, że każda ze stron, zasiadających tutaj będzie zadowolona z wyboru Olafa na tron. Dopełnię wszelkich starań, żeby i Trynt i Samnia odzyskała wolność.

- Uważasz ich za głupców, margrafie? Jesteś tylko pionkiem gracza, który nie ma więcej ruchów. Jaki ty, bądź twój pan będziecie mieli wpływ na decyzje Olafa? Nie macie żadnych kart przetargowych, Eudomar chce tylko przekazać tron i ująć z życiem, ponieważ stare rody na pewno nie wybaczyłyby mu licznych zrad, w tym zabójstwa Elmeryka. Sam fakt, że księżę Olaf chce rozmawiać z dyplomatą Eudomara jest karygodny! Rozmawiać z zabójcą swego ojca? To się nie godzi, to hańba.

- No nie do końca z zabójcą, za śmiercią Elmeryka stali jaszczuroludzie. – Wtrąciła się Nissha.

- Nie wiem na podstawie jakich przesłanek formułujesz ten wniosek. Ale w Imperium bardzo wiele osób jest przekonanych o tym fakcie, co rusz znajdują się nowe dowody. Eudomar był zawsze blisko Elmeryka, jego ręce są brudne. Nie słuchajcie jego przegranego wysłannika, mającego być ostatnią deską ratunku dla tonącego Księcia Protektora. To mydlenie oczu. Powtarzam, ze względu na niebezpieczne oddziaływanie skażonego szaleństwem ścieżek Smoczego Kryształu, Olaf Egilson jest w perspektywie czasu poważnym zagrożeniem, nie tylko dla równowagi, ale dla wszystkich nas tutaj.

- W takim razie nieprędko osiągniemy porozumienie. – Rzekł wergundzki dyplomata.

\*\*\*

Słońce zniżało się nad górami, godziny mijały nieustannie przepełnione rozmowami i negocjacjami. Naokoło karczmy co rusz zbierały się grupki osób, by wspólnie dyskutować nad dalszym działaniem. Margraf Magnus la Tourrée dwoił się i troił, by z każdym porozmawiać, zapewnić o sympatii i obiecać wszystko co tylko dusza zapagnie. Tryntyjczykom wolnego Tryntu, Samnijczykom wolnej Samnii, Wergundom pokojowego oddania władzy, Onfisowi list żelazny w całym imperium, a Enid góry złota. Trzeba przyznać, że stary wyga, który erystykę jak i oratorstwo miał w małym palcu, potrafił przekonać do siebie rozmówców. Ale oni wciąż mieli sporo wątpliwości, a ja nie próżnowałem i też próbowałem przeforsować moje zdanie. Sporo czasu poświęciłem na rozmowach z Uterem i Vennarem, któremu najmniej zależało na Olafie, zaś jak się okazało, zgodził się z tym, że należy zniszczyć spaczony katalizator. A ów spoczywał spokojnie ukryty za budynkiem karczmy, zabezpieczony podwójnie, gdyż wspólnie z Vathanisem, w tajemnicy przed resztą kompanii, do której zacząłem tracić zaufanie rzuciliśmy urok na torbę, która skrywała zaklętą szkatułkę. Vathanis nazwał to nie kryjąc swojego ukontentowania „fintą w fincie, ukrytą w fincie”. Wybitnie spodobało mi się to określenie.

- Wernarze, przyjdź szybko do karczmy, coś się stało. – Powiedziała Enid, przywołując mnie gestem dłoni.

W karczmie zaś panował istny chaos, kilka osób przekrzykiwało się, gestykulując silnie nad kawałkiem materiału, leżącym na stole. Najgłośniej krzyczała najdrobniejsza posturą pani Frida.

- Zdrada! Ten kto to zrobił odpowie za to!

- Co się stało? – Spytałem zdezorientowany, rozglądając się wokół za kimś kompetentnym.

- Frida postanowiła dokładniej przyjrzeć się znalezionemu ubraniu Olafa – wyjaśnił szybko Onfis. – I znalazła na nim ślady pewnego proszku. Obecna tu alchemiczka, która jest naszą znajomą orzekła, że ma on działanie silnie odbierające wolę. I po przyjrzeniu się muszę przyznać jej rację. Skrytobójcy z dużych miast zwą ten specyfik „Virrarum”. Ma to do siebie, że by działał musi być obecny w drogach oddechowych przez dłuższy czas. Praktycznie bezwonny, za to żółty i paskudnie brudzi paznokcie. Dlatego trzeba pracować przy nim w rękawiczkach, plamy które pojawiają się na paznokciach nie dają się usunąć do pół roku.

- Czcigodny Wernarze, mogę cię prosić na słówko? – Zapytał ofirski dyplomata, będący sługą zakonu, mężczyzna dotąd wytworny i nie wyrażający emocji, teraz zaś wyraźnie zdenerwowany, o czym świadczyło rozbiegane spojrzenie i ciągłe manipulowanie dłońmi, owiniętymi bandażami.

Odeszliśmy z dala od karczmy i ciekawskich spojrzeń, na tyle jednak by nie wzbudzać zbyt wielu podejrzeń.

- Wernarze, muszę z tobą porozmawiać teraz, gdyż za chwile mogą mnie złapać. Tak, to ja wysypywałem ten proszek na ubranie Olafa, to ja go zdradziłem. Ale zrobiłem to na polecenie zakonu, któremu jestem wierny i będę wierny aż po grób. Oni zaraz mnie wezmą na spytki, już kilka osób pytało o bandaż, zasłaniające moje paznokcie, po których widać, że zdradziłem. Słyszałem, jak mówili coś o zaklęciach umysłu, eliksirze prawdomówności, jeśli tego na mnie użyją, będę musiał wbrew sobie powiedzieć o tym, jak miałem kontrolować Olafa podczas negocjacji. To na pewno zaszkodzi zakonowi, proszę powiedz mi co robić.

Po podniosłym tonie głosu i męczeńskim wyrazie twarzy widać było prawdziwego neofitę, który gotów był za chwilę przebić się sztyletem, gdybym mu to rozkazał. Być może powinienem był kazać mu natychmiast zbiec, ale pomyślałem, że akt odwagi na pewno spodoba się Pani, która być może obserwuje nasze działania.

- Zapamiętaj to co ci powiem. Żadne zaklęcie i żaden eliksir nie jest w stanie odebrać ci wolnej woli. Działają tylko na ludzi słabych, o wątpliwych umysłach, nieświadomych swojego ja. Dlatego, ponieważ nie są w stanie przejąć twojej woli, odwołują się do ciała i zadają ból. Niewyobrażalny dla człowieka ból, który ma zmać twoje zmysły i kazać ci myśleć tylko o uwolnieniu się i uldze. Ale jestem przekonany o tym, że twoja wiara uchroni cię przed klęską i pozwoli wytrwać w cierpieniu. A gdy to uczynisz, poczujesz na sobie prawdziwą łaskę Toledy, która opromieni cię i wleje w twą duszę ukojenie. Teraz uklęknij, a ja spróbuję się za tobą wstawić u Bogini i wybłagać ochronę dla ciebie.

Gdy uklękliśmy wspólnie naprzeciwko siebie, spostrzegłem, że moja patetyczna mowa wywołała łzy na jego twarzy. Złożyłem dłonie i rozpocząłem cichą modlitwę o wstawiennictwo, którą ciągnąłem przez kilka minut. Czasem, gdy jestem skupiony, potrafię wyczuć przez delikatne mrowienie skóry i dyskretną jasność w umyśle, że Pani mnie wysłuchuje, teraz jednak nie czułem nic, oprócz chłodnego, jesiennego wiatru, pachnącego igliwem i dymem z ogniska.

Powstałem, uznawszy mą powinność za spełnioną.

- Wernarze, jeszcze jedno.

- Tak?

- Muszę się czegoś dowiedzieć. Mam przyjaciela w zakonie, to Durgh, kapłan, bardzo cnotliwy i mądry. Badał właściwości Smoczego Kryształu, od dawna nie otrzymałem od niego listu i obawiam się, że coś z nim się stało. Czy wiadomo ci cokolwiek o jego losie?

Błagalne spojrzenie niebieskich oczu Aleksandra kroilo mi serce jak tasak, niestety musiałem powiedzieć mu gorzką prawdę.

- Aleksandrze, przykro mi. Durgh nie żyje.

Przez twarz Ofirczyka przebiegł kolejny paroksyzm bólu, padł na kolana, bijąc pięściami w ziemię, chrypiąc ściśniętym gardłem „nie, nie, dlaczego on” i „to nie może być prawda”. Nie wiem, czy moimi słowami nie sprawiłem, że jego wiara runęła, jak dziecięcy domek z patyków,

zastanawiałem się czym zawinił ten biedny człowiek, że tego dnia spadło na niego tyle nieszczęść. Nie pozostało mi nic innego, jak położyć mu na chwilę rękę na ramieniu i odejść, pozwalając mu samotnie walczyć ze swą rozpaczą.

Pół godziny później było już po wszystkim. Aleksander został zdemaskowany. Wyznał całą prawdę o swojej misji, pogrążając tym samym zakon i ośmieszając mnie przez zebranymi. Odciałem się od niego. Ku mojej uldze przyjął to w milczeniu. Spór o to, kto ma go sądzić, został szybko rozstrzygnięty. Nazajutrz miał zostać przetransportowany do Akwirgranu i stracony. Tak skończył Aleksander Verlaine Marlowe, wybitny ofirski dyplomata, agent Zakonu Początku Świata, najżarliwszy z wyznawców Toledy.

\*\*\*

Dzień miał się ku końcowi i atmosfera była coraz bardziej napięta. Wernar wiedział już, że nie przeciągnie nikogo na swoją stronę. Nie mógł też dłużej upierać się przy swoim, bo cierpliwość Vennara mogłaby się skończyć. Więc udał, że zgodził się na próbę przyzwania Olafa, co wywołało nieukrywane zadowolenie i triumf Magnusa la Tourrée. Planów działania było kilka, Varthanisowi udało się przekonać Vennara, co do jego koniecznego udziału w rytuale. Miał albo zabić Olafa po jego pojawieniu się, albo upewnić się, żeby się nie pojawił. Ale w rytuale nagle zechciało uczestniczyć coraz więcej ludzi i Wernarowi przestało się to podobać.

W istocie rycerz nie wiedział co robić i modlił się, żeby przypadki potoczyły się dla niego szczęśliwie.

- Za dziesięć minut wychodzimy na Lisiankę, Wernarze, proszę Cię o przyniesienie katalizatora. – Powiedział mag.

- Niech będzie. – Odrzekł rycerz, którego zżerało dojmujące poczucie braku kontroli nad sytuacją. A to poczucie wzmogło jeszcze oświadczenie Varthanisa.

- Wybacz Wernarze, ale nie pomogę ci. Przemyślałem sprawę.

Nie odrzekł nic w odpowiedzi, tylko odwrócił się na pięcie i odszedł. Od tej chwili mógł być zdany tylko na siebie. Gorycz i zniesmaczenie zdominowały jego myśli. Postanowił, że od tej pory stawia wszystko na jedną kartę.

Przed karczmą powoli zbierał się tłumek. Wojownicy, magowie, dyplomaci. Wszyscy podekscytowani, rozmawiający półszepem, bądź wybuchający krótkim, nerwowym śmiechem. Kto z nich mógłby stanowić największe zagrożenie? Oczywiście poza przeklętym magiem z zaświatów, medytującym gdzieś i zapewne zbierającym energię potrzebną do wyczerpującego rytuału. Kto mógłby stać się sojusznikiem? Onfis od paru godzin chodził gryząc się z własnymi myślami. Enid? Jej raczej nie zwiodą obietnice margrafa, a zakon jest hojny. Uter. Szybki i sprawny technicznie szermierz, mimo swojego wieku. Zagrożenie. Telamont i Nisha, psionicy. W starciu bezpośrednim niegroźni. Druidka dotąd była nastawiona pacyfistycznie. Kilku innych wojowników pójdzie za tłumem. Varthanis prawdopodobnie nie będzie przeszkadzał, ale też nie pomoże. Więc Wernar został praktycznie sam przeciwko całej grupie ludzi. Ale w jego umyśle kiełkował już plan. Plan prosty, wykorzystujący element zaskoczenia. Mag Vennar nosił za paskiem wszystkie zapiski, znalezione w jego pracowni, które zamierzał wykorzystać do rytuału. Gdyby tak sparaliżować go dotknięciem zaklętej torby, szybko zabrać papiery i zbiec, zanim ktokolwiek zdążyłby wyciągnąć broń. To mogłoby się udać.

Czerwona kula na widnokregu opadała coraz niżej i niżej, dotykając już wierzchołków gór. Ciepło jesiennego dnia, przemieniało się w chłód wietrznej nocy. Wszyscy zgromadzeni już czekali. Nerwowa atmosfera była nieomal widoczna gołym okiem. Dumnie wyprostowany i skupiony Vennar, górujący nad wszystkimi przytroczył sobie do pasa dwa jednoręczne miecze o wąskich, ostrych jak brzytwy głowniach i czarnych rękojeściach. Po jego lewej i prawej stanęli zaszępieni Wernar, mający

za sobą Enid i spokojny jak zwykle Varthanis, sprawiający nawet wrażenie lekko znudzonego. Dziwna atmosfera sprawiła, że pozostali uczestnicy zdarzeń ustawili się w półkoło, jak gdyby podświadomie wyczuwając kłopoty i nie pozwalając nikomu na ucieczkę. Dłonie same układały się tak, by jak najszybciej wyciągnąć oręż z pochwy. Wernar klął w myślach.

- Proszę cię teraz o przekazanie mi mojego kryształu.

„ Niech się dzieje wola Bogów”, pomyślał rycerz, ściągnął z ramienia torbę, skrywającą szkatułkę i zaczął rozwiązywać supeł, na który była zawiązana.

- Pomogę ci Wernarze. – Powiedziała Enid i chwyciła za torbę.

W chwili, gdy jej palce dotknęły szorstkiego materiału, powietrze naokoło torby zgęstniało i otoczyło ją na sekundę czarną, cuchnącą chmurą. Elfka krzyknęła krótko, zrobiła kilka kroków do tyłu, zginając się, jak po ciosie w żołądek i zwymiotowała, po czym padła nieprzytomna.

Moment później wszyscy posiadający broń, łącznie z Vennarem, dobyli jej i błyszczące ostrza skierowali w stronę kompanii zakonu.

- A cóż to za sztuczki? – Wykrzyknął mag z ogniem w oczach.

- Spokojnie, to tylko zabezpieczenie, Enid nic o nim nie wiedziała. Już podaję ci kryształ...

Trzymający miecze w obu dłoniach podniósł je i z całej siły wyrzucił głowicami w głowy będących tuż przy nim Varthanisa i Wernara. Potężne uderzenie rzuciło obu na ziemię, lecz rycerz Zakonu Początku Świata przyjmował już w swoim życiu takie ciosy, więc zdołał przeturlać się i chwilę później już stał na chwiejących się nogach, usiłując opanować zawroty głowy, jednak z dobytym mieczem. Zaraz potem poczuł pieczenie ciała w miejscu, gdzie na jego zbroi wyryte były ochronne runy i spojrzał na maga, który z wściekłą miną mamrotał zaklęcie, a jednocześnie kątem oka zauważył szykujących się do ataku na niego. Czas był, by uwolnić wściekłość.

- Sukinsynu! Zdrajco! – Krzyknął w stronę Vennara i skokiem w dół niewysokiej skarpy ratował się przed szarżującymi na niego wojownikami. Znalazłszy się na dole złożył ręce w tajemnym znaku, na używanie którego w zakonie zgodę mieli tylko nieliczni. Szybka wizualizacja wystarczyła, by w jego dłoniach uformowała się kula ognia, którą posłał wprost w twarze nadbiegających. Uniknęli, padając na ziemię, ale ich twarze na pewno zostały poparzone. Ognista kula pomknęła w niebo, a Wernar przeskakując po kilka stopni naraz znalazł się znowu na górze, oko w oko z Vennarem. Błysnęła stal. Cios zza głowy długim, półtoraręcznym mieczem został bez trudu sparowany przez skrzyżowane wąskie ostrza przeciwnika. Wernar odrzucił go do tyłu kopnięciem w klatkę piersiową i drugi raz natarł wściekle, tym razem szybką fantą, wyuczoną gdzieś w teralskich zamkach. Mag po raz kolejny okazał się być dobrym szermierzem, ponieważ nie dał się zwieść i jego klinga znowu znalazła się we właściwym miejscu. Na ponowne natarcie Wernar nie miał czasu, gdyż musiał szybko obrócić się, by uniknąć ciosu zadanego z boku przez Swałę Skogdottir, wspomaganą przez małomówną kobietę, o której wiedział tylko tyle, że należy do Smoczej Kompanii i szukała czegoś w Białym Domku. Złe ustawienie łokcia podczas obrotu zemściło się na nim. Ostrze maga ukaśiło jak wąż, rozrywając koleczkę i przecinając ramię. Na szczęście znalazł się Onfis, robiący sztyletami wokół siebie, zmuszając obie kobiety do odsunięcia się. Na niewielkim dziedzińcu karczmy zrobił się ścisk, teraz walczył już każdy, kto miał miecz. Nawet blada jak trup Enid, z której Varthanis zdjął przynajmniej częściowo zaklęcie. Całej czwórce udało się połączyć i walcząc odwróceniu do siebie plecami usiłowali przedostać się do schodów, prowadzących w górę stoku, poza ostrokół, grodzący teren karczmy pod Silberbergiem. Wernar przerzucił się na szeptanie prośb o uzdrowienie dla jego drużyny, czuł jak ciepła i świetlista łaska Toledy przynosi mu ukojenie i przysparza sił.

Ale napór przeciwników był zbyt duży. Varthanis, używający im cały czas swej ochronnej aury i splatający przeciwzaklęcia, osłaniające przed czarami Vennara słabł z każdą chwilą. Raz na jakiś czas czerpał trochę energii życiowej z napastników, ale robiąc to, tym samym odsłaniał się na mentalne ataki, z czego skwapliwie korzystała Nisha. Położenie było opłakane, dla Enid walka była

nieustannym zmaganiem z własnym organizmem, który zatruty nekromantyczną magią buntował się. Z tego powodu Onfis, zamiast kęsać swymi szybkimi sztyletami bardziej skupiał się na ochronie jej przed ciosami. Najgorsze we wszystkim było to, że ilekroć ktoś z wrogów padał z rozchlastaną kończyną, bądź przebitym korpusem, zaraz koło niego zjawiała się druidka, bądź alchemiczka z zaklęciami i miksturami uzdrawiającymi.

Drużyna była już metr od schodów, dostrzegłszy kątem oka, że Wernar posyła na ziemię kolejnego wojownika ze strzaskanym barkiem, Varthanis zdobył się na ostatni poważny wysiłek przed wyczerpaniem cennej energii i rozpościerając szeroko ręce otworzył swą jaźń, pozwalając demonom w niej uwięzionym sycić się siłami życiowymi wszystkich istot żywych, całą wolę skupiając na tym, by nie atakowały nikogo z jego sojuszników.

W powietrzu zadźwięczał dobywający się znikąd kakofoniczny wrzask, powodujący cierpienie skóry i paniczną chęć ucieczki. Trwało to niecałe okamgnienie, zanim na powrót uwięził demony we wnętrzu swego 'ja', ale wystarczyło, by spowodować u wszystkich

omdlenie. Nekromanta, wraz z kompanią rzucili się na schody prowadzące w górę, za nimi jednak pomknęło zaklęcie odbierające oddech. Nikt już nie był chroniony. Ponowne zmuszenie organizmu do oddychania nie było trudne, ale stracili uzyskaną przewagę. Na wąskich schodkach prowadzących w górę pojawiło się kilku ludzi z samnijskim wojownikiem na czele. Nekromanta nie zdążył otworzyć bramy. Tym razem magia umysłu Telamonta skutecznie go sparaliżowała. Stojący pomiędzy nim, a atakującymi Onfis i Wernar nie mieli szans. Enid padła już w połowie drogi i leżała na schodach w kałuży krwi. Szybkie cięcie samnijskiej szabli dosięgło pleców Wernara, rzucającego się ze skarpy. Na szczęście kolczuga wytrzymała. Koziółkując kilkanaście kroków w dół, Wernar walnął plecami o ziemię, natychmiast podniósł się i stanął naprzeciw tych, którzy zostali przed karczmą. Nie chciał już wygrać, chciał tylko ocalić skórę, dlatego potrącił barkiem pierwszą osobę, stojącą na jego drodze i wykonał półpiruet, zataczając mieczem szeroki łuk, w celu zapewnienia sobie miejsca.

Najpierw poczuł zimne, twarde uklucie, gdzieś z tyłu. Potem zdziwił się, że zamiast postąpić naprzód, w niebywale powolnym tempie upada na kolana. By się nie przewrócić musiał podeprzeć się ręką o ziemię i wtedy to zobaczył. Rubinowoczerwony, kilkunastocentymetrowy, ostro zakończony kawałek stali, wystający z jego klatki piersiowej. Zbierające się na czubku gęste krople krwi skapujące na piach, tworzyły na nim dziwne wzory. Patrzył na to i nie mógł uwierzyć. Zawsze myślał, że śmierć przyjdzie jak anioł ukojenia, jeden z awatarów Pani. Że w ostatnich chwilach swego marnego żywotu spłynie na niego promienista łaska, jasność, bijąca z zaświatów, otwierających dlań swe podwoje. Że w jednej chwili pozna i pojmie cały sens istnienia, a jego dusza napelni się wiecznym szczęściem, zrozumieniem i poczuciem dobra. Tymczasem czuł tylko płonący ból, jak gdyby ktoś przypalał mu plecy żywym ogniem. Wszystko w nim pulsowało, skręcało się i rozrywało na strzępy, ciało, umysł, dusza. Jakaś gruba zasłona oddzieliła go od ludzi, kręcących się wokoło, od dźwięków i zapachów otoczenia. Był tylko on i jego cierpienie, które uporczywie nie chciało się skończyć. Nie był już człowiekiem, cały był bólem. Rozmazany obraz wirował przed oczami, które powoli zasnuwała mlecznobiała mgła. Próbował bezskutecznie złapać oddech, nie potrafił. Charczał i rzeźził, a z ust obficie kapłała mu różowa piana. Ktoś oparł but o jego plecy i brutalnie wdeptał go w ziemię, wyciągając z niego miecz. Ból rozrywający płuca trwał tak długo jak cała wieczność. W końcu przeminął, a z nim uleciał duch. Tak skończył Wernar z Danbergu, rycerz pierwszego stopnia Zakonu Początku Świata.

\*\*\*

Stuk... stuk... stuk... Trzaśnięcie ciężkich drzwi zwielokrotniło echo.

- Miłosierny, właśnie mi doniesiono. Misja zakończyła się fiaskiem. Wernar z Danbergu nie żyje.

Twarz komtura jak zwykle nie wyrażała niczego.

- Kryształ?

- Ponoć zniszczony.

- Jak zginął?

- Ponoć z rąk jakiejś poszukiwaczki skarbów...

- Znajdźcie ją i sprawcie, by cierpiała.

\*\*\*

Stuk... stuk... Odgłos kroków, bębniących po kamiennej posadzce. Szuranie bezwładnego ciała. Stuk... stuk... stuk...

*Pisał Hodo*